

Oszalamiająca podróż między Kafką, Koltèsem i Coetzeem

W Clermont-Ferrand, gdzie 21 i 22 stycznia pokazano „Koniec”, nowy spektakl Krzysztofa Warlikowskiego, brawa nie trwały zbyt długo, co nie oznacza bynajmniej, że nie podobał się on tamtejszej widowni, bardzo uważnej, lecz mało wylewnej. Niewątpliwie publiczność czuła się jeszcze oszołomiona przeżyciami ostatnich czterech godzin, które były jak daleka i niespodziewana podróż. Jak to się odbędzie w paryskim Odeonie, gdzie „Koniec” będzie grany od 4 do 13 lutego, zanim wyjedzie do Liège w Belgii i wróci do Warszawy, do Polski, skąd wywodzi się Warlikowski?

Jedno jest pewne: mamy tu do czynienia z najbardziej osobistym przedstawieniem tego reżysera. Dokładnie rok temu, 4 lutego 2010, wystawił on w Odeonie „Tramwaj” wg „Tramwaju zwanego pożądaniem” Tennessee Williamsa, z Isabelle Huppert w roli Blanche. Podstawą spektaklu, jakkolwiek poddaną różnym zmianom, była mimo wszystko sztuka teatralna. W „Końcu”, podobnie jak w „(A)pollonii” w 2009 roku, Warlikowski dokonuje kompilacji. Łączy teksty takie, jak „Proces” i opowiadanie „Myśliwy Grakchus” Franza Kafki, scenariusz nigdy niezrealizowanego filmu Bernarda-Marie Koltèsa „Nickel Stuff” oraz powieść „Elizabeth Costello” Johna Maxwella Coetzeego, noblisty z RPA.

Te trzy nazwiska figurują wśród ulubionych autorów Warlikowskiego. Wystawiał już ich na scenie w przeszłości, do której powraca jak Dante do swojej przeszłości w „Boskiej komedii”. 47-letni reżyser, urodzony w Szczecinie, z którego uciekł przed karierą kierowcy ciężarówki, wymarzoną dla niego przez rodziców, by stać się jednym z najważniejszych ludzi teatru w Europie, stawia sobie pytania o rzeczy, które dotyczą zarówno jego samego, jak i nas wszystkich, mianowicie o poczucie, że na pewnych etapach życia przekraczamy jakieś progi. Co robić, kiedy człowiek powinien być martwy, a jest żywy, jak Kafkowski Grakchus? Jak cokolwiek kontynuować, kiedy się zrealizowało marzenia i nie ma się już ambicji, co jest przypadkiem Tony’ego, tancerza z „Nickel Stuff” Koltèsa? Co odpowiedzieć niewidzialnemu trybunałowi, który skazuje nas – jak Józefa K. z „Procesu” Kafki – za niewiadome przewinienia? Jak znaleźć wyjście, kiedy się musi, jak Elizabeth Costello, bohaterka Coetzeego, usprawiedliwiać przed sędziami, od których zależy to, czy wejdzie tam, dokąd chce.

Ten, kto szuka choćby zarysu odpowiedzi na te pytania, nie powinien oglądać „Końca”. Krzysztof Warlikowski nie podejmuje takiej próby – teren, na którym działa, to obrazy, wizje, koszmary i fantazje. Na ich pokazanie pozwalają mu ciała i głosy fantastycznych aktorów. „Koniec” rozgrywa się w wielkim, nieokreślonym pomieszczeniu o zmiennym rozkładzie, tak jak w miejscach z naszych marzeń sennych. Spektakl zaczyna się od tańca pięknej dziewczyny ubranej w kombinezon z czarnej koronki, która porusza się z desperacką wręcz zmysłowością i gwałtownością. Z tego, co mogło być zwykłym „show”, wychodzi szok – i tak oto od samego początku zamiast śledzić przedstawienie z normalną uwagą teatralnego widza, zostajemy wciągnięci w przeżywanie doświadczeń.

Poprzez serię scen podobnych do sekwencji filmowych Krzysztofowi Warlikowskiemu udaje się ukazać w pełnym wymiarze uczucia, które drażą każdego, kto wykonuje rzemiosło bycia człowiekiem. Pierwsze z nich to poczucie winy we wszelkich postaciach – synowskiej, społecznej, miłosnej. Każdy rozpozna to, które dręczy akurat jego, przy czym na pewno nikt nie zapomni tego obrazu: mężczyzna z krwi i kości widzi na ekranie kobietę znajdującą się na najwyższym piętrze budynku, filmowaną dokładnie w chwili, kiedy może spaść w dół. Kobieta jest daleko, być może nie istnieje – albo istnieje w umyśle tego, który patrzy i wie, że nie potrafi jej powstrzymać.

Wizja ta, podobnie jak wiele innych w tym przedstawieniu, wywołuje koszmary rodem z Kafki, Coetzego i Koltèsa. Następują one z taką intensywnością, że czasami kusi nas, by powiedzieć: „stop”. Mielibyśmy ochotę wyjść na chwilę, a potem wrócić do sali, tak jak robiło się dawniej, zanim XX wiek nie zamienił czasu przedstawienia w świętość. Dzięki temu moglibyśmy zatrzymać się indywidualnie przy tym czy innym obrazie, przeżyć go i rozważyć. A może zapomnieć? Nie, na pewno nie. Nie da się zapomnieć tego „Końca”, widzianego z perspektywy bogów, którzy rządzą kondycją człowieka.

Brigitte Salino
Le Monde 02.02.11

tłum. Agata Kozak